№ 7. Warszawa, dnia (6) 18 Lutego 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:	Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . rs. 1	kwartalnie . rs. 1.25
Za odnoszenie do domu	półrocznie . „ 2.50
kop. 10.	rocznie . . „ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie **flor. 1.80**, Na prowincyi **flor. 2.20**. Agencye główne na Galicyę: we **Lwowie Księgarnia Polska** Plac Maryacki 11; **w Krakowie** księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego**. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie **rs. 1 kop. 60** lub walutą zagraniczną podług kursu.

Za zmianę adresu kop. 15.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12** „**Nadesłane**“ wiersz garmontu **kop. 50**. Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa. Chmielna 26.
TELEFON 106.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

Gdy przyszła kolej na panią profesorową, zakłopotała się cokolwiek.

— Jako ex-medyczka — rzekła cichym głosem — muszę być z konieczności pozytywistką. Pozytywizm wyklucza wszelkie domysły i liczy się tylko z faktami. Własne życie i własna obserwacya nie dostarczyły mi faktów, któreby w tym razie świadczyć mogły *pro* lub *contra*. Fizyologia i... przyzwyczajenie nauczyły mię w dzień pracować, a w nocy spać. Wskutek tego nie miałam czasu ani sposobności zajmować się selenografią. Nauka ta przytem nie wchodziła do programu moich kursów uniwersyteckich.

— Nic zatem nie dorzuci pani do naszych rozpraw?—spytała z widocznem niezadowoleniem Wanda.

— Gdybym koniecznie miała mówić, to poprzestałabym na uwadze, że pan Władysław, który odrzuca *à priori* niepoczytalność sonambulików, niema słuszności. Twierdzenie to poprzeć mogę powagą nauki. Fakt, który przytoczę, opowiedziany nam został na lekcyi przez znakomitego uczonego.

Po tych słowach Brzeska opowiedziała co następuje:

— Pewien zakonnik francuzki późno w noc odmawiał w swej celi modlitwy. Reguła klasztorna zabraniała o późnej godzinie palić światło, modlił się więc po ciemku, a właściwie przy świetle księżyca, który falą jaskrawego blasku całą celę zalewał. W czasie modlitwy słyszy, że otwierają się drzwi sąsiedniej celi, i że ktoś wyszedłszy ztamtąd, idzie wprost do niego. Jakoż po chwili widzi, że otwierają się drzwi jego celi, których reguła na klucz zamykać nie pozwala, i ukazuje się w nich mieszkający o ścianę zakonnik. Posuwa się on zwolna, krokiem automatycznym, i oczy ma zamknięte, a w ręce trzyma wzniesiony do góry błyszczący nóż. Modlący się zakonnik, spostrzegłszy, że tamten zmierza wprost do łóżka, przy którem klęczał, czemprędzej wsuwa się pod nie. Tamten przyszedłszy do samego łóżka, pochyla się, i trzykrotnie, z całej siły uderza w pościel nożem. Zrobiwszy to, tym samym krokiem automatu wychodzi i do swojej celi powraca. Nazajutrz obaj zakonnicy spotykają się w chórze. — Ach bracie! — mówi tamten przystępując do kolegi — jakiż okropny sen dziś miałem. Śniło mi się, żem ciebie zamordował.

Okazało się, że ów zakonnik był sonambulikiem, i w danej chwili nie miał świadomości tego, co czyni. Gdyby jednak zbrodnia została spełniona, i sądzili ją ludzie w rodzaju sceptycznego studenta, ów chory zakonnik uznany byłby z pewnością za przestępcę i w ręce kata oddany.

Wszyscy przyznać musieli, że fakt opowiedziany popiera jak najsilniej hypotezę wpływu księżyca na ludzkie nerwy, a więc i na losy ludzkie.

Ten dzień był jakby świętem księżyca. Przed wieczorem przyszedł stary uczony z obserwatoryum, i nawiązując rozmowę do wczorajszych zdarzeń, przez cały wieczór rozprawiał z Wandą o satelicie ziemi.

Wystąpili na plac: Schrötter, Śniadecki, Flammarion i inni. Wanda na pamięć już umiała słowa Śniadeckiego, który pisał: „Dalecy jesteśmy od takiego o księżycu mniemania, (to znaczy od mniemania, że księżyc nie ma atmosfery, wulkanów gorejących i zwierząt podobnych do naszych), trzymając raczej, że ten jest oblany atmosferą, choć daleko rzadszą, niż atmosfera ziemska; i małe bardzo odmiany, które zbliżające się do niego gwiazdy w swem świetle ponoszą, mogą być dla wzroku naszego niewidoczne.“

Schrötter czy ktoś inny potrafił obliczyć, że powietrze na księżycu jest 28 razy lżejsze od ziemskiego. Zmierzył on też wysokość księżycowej atmosfery i doszedł, że nie dosięga ona wierzchołków wyniosłych gór tamtejszych.

Co się tyczy wreszcie Flammariona, to najpierw zbił on mniemanie, jakoby jedynem przeznaczeniem księżyca było: służyć ziemi za lampę, następnie: nie wahał się oświadczyć wyraźnie, że księżyc „albo jest zamieszkały, albo był zamieszkały, albo kiedyś zamieszkały będzie.“

Uczony okazywał Wandzie coraz więcej życzliwości, połączonej z pewnego rodzaju szacunkiem. Porzuciwszy ton opryskliwy i drwiący, przemawiał do niej, jak ojciec do córki — ale do córki dorosłej i samodzielnie myślącej.

Z chęcią zgodził się na udzielenie jej kilkunastu lekcyi eksperymentalnych, na które miała przychodzić do obserwatoryum.

Po odejściu uczonego, Wanda zamknęła się w swoim pokoiku. Przez długi czas siedziała nad kajetem, zapisując pilnie wszystkie w ciągu dnia wyczytane, usłyszane lub dostrzeżone fakta. Z uciechą widziała, że kajet zapełnia się coraz obficiej cennym materyałem naukowym.

Księżyc i wielka zagadka jego bytu na chwilę nie wychodziły jej z myśli. Postanowiła odbyć specyalne studya nad tym przedmiotem, i za jakąbądź cenę znaleźć słowo zagadki.

Zgasiła światło i podniósłszy roletę, stanęła u okna. Noc była pogodna; ponad błyszczącymi dachami płynął księżyc, ani jedną chmurką nie przyćmiony. Długo, długo wpatrywała się w jego twarz wybladłą; potem

wyciągnęła doń obie ręce, jakby uścisnąć go chciała.

Przed samem zaśnięciem, przypomniała sobie postanowienie poprzedniej nocy uczynione. Postanowienie to wydało jej się czemś bardzo odległem i bardzo błahem.

— Odruchowy objaw czułości—pomyślała— którego zmęczony mózg nie miał siły skontrolować i powściągnąć.

Odmówiła jednak pacierz i westchnęła pobożnie o zdrowie dla rodziców.

Przyjechał Popiołek — opalony, zarośnięty, gadatliwy, pozorami zdrowia, a przynajmniej jakiejś rzeźkości nerwowej, łudzący.

Wprost z kolei zajechał do Brzeskich, z któremi był na stopie przyjacielskiej. On to wskazał Wandzie mieszkanie u nich, wiedząc, że młoda panna, prócz wygody i opieki, znajdzie tu miłą dla siebie atmosferę umysłową.

Oświadczył z góry, że nie będzie długo zabawiał „ani siebie innymi, ani innych sobą.“ Kursa już się rozpoczęły—na złamanie karku lecieć na nie musi. Wprawdzie — mówił — nauka tyle mu potrzebna, co umarłemu kadzidło, jednak uczyć się musi „aby pokazać tamtym, że polaki nie warchoły, nie franty i nie letkiewicze.“

Wanda wzięła go na stronę i wypytywała o rodziców.

Teraz dopiero dowiedziała się, że choroba ich była spowodowana jej ucieczką. Matka ciężko cierpiała na kurcze żołądka; ojciec miał atak apoplektyczny, lekki wprawdzie, ale którego następstwa dotąd jeszcze trwają.

Wiadomość ta silnie Wandę wzruszyła. Pobladła, oczy spuściła i wyszeptała głosem drżącym:

— Doprawdy, nie przewidziałam tego—nie mogłam była przewidzieć. Ojciec wydawał się zawsze taki obojętny, apatyczny; matka— tak wyłącznie oddana kuchni, śpiżarni i porządkom domowym... Byłam pewna, że mój wyjazd sprowadzi trochę gniewu, może nawet krzyków, ale prędko będzie zapomniany i nikomu łzy z oczów nie wyciśnie.

— I ot, grubo się pomyliła. Łzy były, i była ich cała przepaść. Pani kasyerowa płakała po nocach, aż słychać było przykro.

— Nie wiedziałam... Wierz mi, bracie, że nie wiedziałam — powtarzała głosem skruszonym, głosem spowiadającej się grzesznicy.

Potem z natężoną uwagą słuchać jęła co mówił jej o ojcu.

Dalewicz, upadając, zranił się silnie w głowę; upływ krwi osłabił siłę ataku. Niebezpieczeństwo minęło, ale mózg nie był jeszcze dotąd w porządku. Nieustannie liczył coś głośno, dodawał, odejmował, obliczał procenta zwyczajne i składane. Doktór był w obawie, że stanie się on niezdatnym do pracy biurowej. Ale zaszła rzecz nieprzewidziana: Dalewicz jednego dnia wstawszy rano poszedł o zwykłej godzinie do biura i tam — najdokładniej czynności swe wypełniał. Poza tem jednak nic go nie obchodziło i do niczego nie był zdolny. O córce nic nie mówił; przy obiedzie jednak i przy wieczornej herbacie pilnował, żeby zawsze nakrycie jej i krzesło znajdowały się na zwykłem miejscu.

Wanda obiema dłońmi ścisnęła skronie.

— I po co te ofiary... niepotrzebne? — złamanym głosem rzekła.

Student popatrzył na nią, czuprynę i brodę rozczochrał, papierosem silnie się zaciągnął.

— Ja prawdę powiem — odezwał się po chwili.—Kilka razy było tak, że chciał pisać do panny Wandzi: „Rzuć wszystko i przyjeżdżaj rodziców ratować!“

Odjęła ręce od głowy, wyprostowała się — oczy jej zabłysły.

— Co brat mówisz! — zawołała. — Czyż ja mogę cofać się z drogi, na którą weszłam! Każdy spełnić musi to, do czego został powołany. Niema siły, któraby go od tego odwiodła. Czyż brat nie wiesz o tem?

Nic nie odrzekł, zakrywszy się nieprzeniknioną chmurą dymu.

Nie powracali już więcej do tego przedmiotu.

Trzeba było z kolei zająć się sprawą inną, nie cierpiącą zwłoki, mianowicie: wyprawieniem Wandy zagranicę. Kasyerówna dużo już rozmawiała o tem z Brzeską, z rozmów tych jednak wyniosła więcej zaniepokojenia, niż otuchy.

Profesorowa malowała pobyt na obczyźnie z pewną przesadą, jakby chciała podnieść cenę swego, niespełnionego zresztą całkowicie bohaterstwa. Rzucanie się w tę otchłań kobiety młodej, samotnej, niedoświadczonej i bezbronnej, równało się według niej, skokowi Heroy w fale Helespontu.

Szło o to, aby nie być samą...

Brzeskiej pod tym względem los sprzyjał. Najpierw miała ona w Genewie krewnych: rodzinę, wychodźcy z kraju; następnie znalazła tam dawną koleżankę, z ktorej, choć uczęszczała na inny wydział, miała stałą towarzyszkę życia i nauki.

Genewa jest miastem cichem i dziwnie przytulnem; cudzoziemiec czuje się tam, jak u siebie. Ale Wanda wybiera się do Paryża, to znaczy na samo dno piekielnej przepaści.

— Cóż począć, moja pani! — mówiła smutnym głosem Wanda.—Nikogo nie mam, coby chciał i mógł tam jechać ze mną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Echo starej Sagi.

PROLOG.

W Walhali.

Walkyrya pierwsza.

Rozjaśnił czoło Walhali pan,
Spłynęły kry lodowych mórz,
Zabłysło słońce. W obłoczny tan
Lećmy siostrzyce! Wiosna już!

Walkyrya druga.

Z lodowych gór, z urwistych skał
Zrywa się orłów drapieżny ród,
Pierś mu już szarpie bojowy szał,
Leci po sławę, po śmierć, po trud.

Walkyrya pierwsza.

Śmierć bohaterów miłą jest Bogu
Srogiemu Bogu północnych ras.
Hej w dal siostrzyce! Z Walhali progu
Nasz rumak—wicher poniesie nas.

Chór walkyryi ulatujących.

W tan, po obłokach! Nad mórz wodami
Niesie nas wicher szalonym tchem...
Wyżej! Hej wyżej! Nad obłokami
Jest szlak miesięczny. Popłyniem nim.

Na morzu.

Z pluskiem wioseł, z okrzykiem gromkim, jak grzmot wiosenny, łodzie normandzkie wybiegły na morze. Bez żagla pędzą — cóż po żaglu ludziom północy? Ramion z żelaza Skandynawii nie brak! Rytmicznie zginają się i prostują gibkie ciała; wicher poranku chłodzi barki olbrzymie, stalowe ramiona wojennych mężów.

Jeszcze jeden okrzyk — dziki jak wilków wycie... skały Skandynawii giną we mgłach... ponad łodziami z wrzaskiem mew lecą stada... wód obszary dokoła.

Hej, w dal, do krajów słońca, do baśni czarownych krajów! W dal, drogą łabędzi!

Słońce błysnęło z poza chmur, tysiącem iskier ognistych padło na olbrzymy lodowe. Błyszczące góry kołyszą się na błękitnej fali, chmurek białych tumany przelatują po niebie, wicher zimny smaga dzikie twarze wpółnagie piersi wojowników.

Wytężają się ramiona, zginają i prostują gibkie ciała. Już olbrzymy lodowe pozostały za nimi. W dal, w dal, na walk krwawe pola!

Wiedzie ich stary wilk, król morza, Ragnar jednooki. Przed imieniem jego drżą białe skały Brytanii, drżą sioła Franków, drżą mdłe Słowian plemiona. Sława królów morza daleko, daleko, krwawym leci szlakiem.

Od południowej strony, kraju jakiegoś rysują się wybrzeża. Normandowie nie zboczą tam. Już wybrzeża nikną we mgle. Dalej, hej dalej!

Zachodzą nad nimi słońca, noce kładą się czarnym cieniem, nowe rozpalają zorze, oni płyną wciąż przed siebie, w dal. Coraz cieplejsze wichry od lądu niosą nozdrzom ich nieznane wonie, szafiry mórz i nieba ciemnieją coraz. Kraj słońca już niedaleko...

Noc rozpostarła się nad oceanów przestworem, cicha, gwiaździsta, przesrebrzona promieniami miesiąca. W ciszy pluskają miarowo wiosła. Na pierwszej łodzi Ragnar sam trzyma ster.

Mężowie u wioseł rozognionym wzrokiem patrzą przed siebie. Inni w śnie pogrążeni głębokim, śnią boje, krew, dym i śmierć. Dwóch czuwa: skald, Olaf stary i Herald jasnowłosy. Młodzieniec pierwszy raz na wyprawę wyruszył wojenną. Wzrostem jeden Ragnar mu dorówna, siłą nie mierzyć się z nim żadnemu. Jasne włosy spadają mu na białą szyję, na rozłożyste ramiona. W wielkich błękitnych oczach skrzy się ciekawość

młodzieńcza i pragnienie walki. Piękny jest jak młody bóg, nieustraszony, jak dziecię.

Skald ponury powieść mruczy o bogach, Harald słucha.

Nagle starzec milknie, i w ciemne szafiry nieba wpija ślepe, mgłą zasnute oczy, jakby tam czary ujrzał i dziwy. Twarz starca żar rozpłomienia, z ust jego pieśń się dobywa.

Lecą orlice — mówi skald, podnosząc ramię ku górze, a głos jego potężnieje wraz:

Lecą orlice, walkyrye lecą
Złotym puklerzem w oczy wam świecą
W wojenny grają róg.

Na śmierć wikingi!—orlice kraczą—
Śmierć bohaterów bogi obaczą!
Odyn bohaterów bóg!

Krwi bohaterskiej strumień bogaty
Wiosenne rodzi w Walhali kwiaty,
Hej, hej wikingi w bój!

W walk dzikie wrzaski, gdzie strzał poświsty,
Gdzie szczęki mieczów! W wicher ognisty!
Hej, hej wikingi w bój!

Pieśń starca szaleje w ciszy nocnej, wzbiera wściekłością, brzmi wilków północnych wyciem, lecz potężniej, straszniej szaleje w duszy młodzieńca. Harald widzi, jak tam hen, na wyżynach, księżycowym szlakiem pędzi dziewic zbrojnych wojsko całe. Skrzydlate ich rumaki roztrącają białą pianę obłoków, pył gwiaździsty z pod kopyt ich bucha. Szalonym pędem mkną dziewice Odyna.

Wtem, jedna z nich odrywa się od chóru i po promieniu miesiąca spływa w dół... Złota jej dzida i tarcza złota zielonawym mienią się blaskiem.

On patrzy — oczy dziewicy płoną jak dwa słońca... coraz bliżej, coraz bliżej mknie... przysłonił oczy.

Skald położył mu rękę na ramieniu.

— Tyś wieszczek, ty powiedz, jak do niej...—rzekł głucho.

— Do niej, synu—tylko przez śmierć!

Miarowo pluskają wiosła, cisza dokoła, wiatr gorące niesie podmuchy.

(Dokończenie nastąpi).

Miliarderki Amerykańskie.

(Dokończenie).

Dowodów na to, że amerykance bardzo bogatej brak jest zupełnie zmysłu na zrozumienie innych wartości, oprócz wartości pieniężnej, przytacza Norvins sporo. Rolę w jej rywalizacyi wszelkiej odgrywa ilość—tylko ilość, i dzięki temu zdradza ona często nie prostotę w pojęciach, ale prostactwo zupełne. I tak, jeśli panna Astor po wylądowaniu w kąpielach Newport dowie się, że pp. Gohelett albo Twombly przywiozły ze sobą każda po 110 sukien, podczas gdy ona ma ich tylko 100, to niepodlega wątpliwości, że wyjedzie natychmiast nie rozpakowawszy nawet kufrów swoich. W roku zeszłym p. Terlitt przywiodła ze sobą do Newport parę koni kupionych za 4,200 dolar., ale je zaraz odesłała do New-Yorku, po dowiedzeniu się, że panna Gracya Wilson zapłaciła za swoją parę 6,000 dolarów.

Taka bezsensowna zmienność upodobań, niezależnie od najważniejszego z następstw ujemnych — mianowicie wszechwładztwa kaprysu w życiu kobiety, pociąga za sobą nadto i ważne bardzo zakłócenia w sprawach przemysłu i handlu. Jakiś naprzykład artykuł zbytku, który niespodzianie stał się modnym, dzięki dekretowi wydanemu przez areopag Piątej Alei, podwaja się w cenie, albo potraja—jego wytwórczość zwiększa się stosownie do zapotrzebowania, aż naraz artykuł ten staje się nie wart nic, dzięki temu, że go sobie miliardowe kapryśnice obrzydziły, o co jak wiadomo nie bardzo u nich jest trudno.

Że w takim trybie życia marnieje istota kobiety, zbytecznem byłoby udowadniać. Nawet poczucie piękna musi być u niej zupełnie nierozwiniętem. Nigdy też nie troszczą się one o to, co jest na scenie lub na estradzie, ale szukają po dziennikach ceny miejsc jedynie, bo ta cena decyduje dla nich o wszystkiem sama przez się. Jeśli jest dosyć wysoka, aby zaszczycić mogły swemi osobami przedstawienie, idą — w przeciwnym razie żadne arcydzieło muzyczne nie pociągnie ich. Do obyczaju ich należy również ignorować nędzę i cierpienia ludzkie. Własną ręką żadna nie wspomoże potrzebującego, a pieniądz na dobroczynny cel rzucają tylko wtedy, gdy dziennik żbiera podpisy, rozumie się, aby je potem ogłosić drukiem.

Do potworności dochodzi też niekiedy kobieta miliarderka z wiekiem, na punkcie oschłości serca. P. Hetty Green, posiadająca 500 milionów franków majątku, mieszka w pensyonacie za 35 franków jedynie. Wynalazła ona nawet sposób uchylenia się od podatku dochodowego, a wie dobrze, że ciężary miasta Chicago, w których powinna przyjąć udział stosunkowo do swojej fortuny, dzięki temu oszustwu rozłożone są na klasy ubogie.

Ta ostatnia uchodzi za najdoskonalszy typ skąpstwa i chciwości, ale inna kobieta Senora Cousino, Chilijka pochodzeniem, należąca do liczby paru osób najbogatszych w świecie, jest zarazem rozrzutną, marnotrawną bezmyślnie, i chciwą aż do obrzydliwości. Wiadomo jest w Ameryce całej, jak do minimum zredukowała wynagrodzenia robotników w swoich kopalniach srebra, jak umie wyzyskiwać i krzywdzić pracujących, a jednocześnie rozrzucać z bezmyślnością bezprzykładną.

Jeśli kobieta miliarderka nie jest ani wyłącznie chciwą i skąpą, ani chciwą i marnotrawną, jest w najdziwaczniejszy i najegoistyczniejszy sposób ekscentryczną. Ta, która nie ruszy palcem dla ulżenia niedoli ludzkiej, potrafi zabijać się wysiłkiem, gdy idzie o to, aby jej przyznano sławę i pierwszeństwo w jakimś sporcie karkołomnym.

O kosztownościach miliarderek, pomimo, że najznakomitsze z pomiędzy nich wymienia szczegółowo Norvins, rozpisywać się nie będziemy. Jeśli ktoś ma ile tyle wyobraźni, nie trudno mu będzie od wielkiego dyamentu i rubinu, wystawić sobie dyament i rubin jeszcze większy, równie jak tych kamieni drogich wyimaginować sobie liczbę większą. I ceny: 3, 4, 6 i t. d. aż do 800,000 franków przedstawiające wartość tych naszyjników i garniturów, także nikogo w zachwyt nie zdołają wprowadzić, chyba, gdyby ten ktoś miał pożądania bardzo realne i niezwykle pospolite.

Niepodobna jednakże, aby wśród takiej galeryi nie miał się znaleźć wyjątek — jeden chociażby. Norvins też wynalazł perlę, a jest nią córka zmarłego niedawno amerykańskiego arcymiliardera Goulda. Jest to pocieszającem z tego mianowicie względu, iż o łupieztwach tego Gould'a opowiadano przed niedawnym czasem dziwy niezmierne. Jego sposób zdobycia majątku musiał jednakże i w Ameryce uchodzić za szczególnie niepoczciwy, kiedy wysoce tolerancyjne duchowieństwo tego kraju, odrzuciło wszystkie legaty, pozostawione przezeń na korzyść kościołów, a to z racyi, że nie przystało domom Bożym korzystać z nabytków w tym stopniu nieprawych. Streszczamy sylwetkę tej kobiety na wiarę i odpowiedzialność autora, który nam służy za źródło informacyi.

Panna Gould, pomimo niezmiernego majątku, nie wyszła dotąd za mąż, a ma już lat 30 skończonych. Ma to być przedewszystkiem patryotka. Zaraz w początkach wojny hiszpańsko-amerykańskiej wybierała się na plac boju z zamiarem wejścia do zgromadzenia kobiet, obsługujących ambulanse. Gdy jej jednakże choroba brata stanęła na przeszkodzie, ofiarowała rządowi Stanów Zjednoczonych summę 100,000 dolarów na cele wojenne. Odznacza się nadto m. Gould umysłem otwartym, czego dowodzą jej hojne dary na Nowoyorską szkołę prawa i inne zakłady naukowe, a między nimi na Rutgen-College. Wszelkie klęski publiczne znajdują w niej szczodrą ofiarodawczynię, a niejednokrotnie zdarzało się, że przy jakimś wielkim darze bezimiennym, tylko dzięki niedyskrecyi bankiera, wyszło na jaw nazwisko p. Gould, skrupulatnie przez nią tajone. Aby administrować dobrze całym swoim olbrzymim majątkiem, studyowała procedurę prawną, i dziś wywiązuje się z tego zadania jak najlepiej. Zresztą jest domatorką z nałogu, a mówiąc o tem z Norvinsem, starała się przekonać go, że nie mizantropia broń Boże wstrzymuje ją od częstszego z ludźmi obcowania, ale że po prostu nadmiar zajęcia zmusza ją do odmówienia sobie tej przyjemności. Jedno z jej upodobań, któremu poświęca sporo czasu zbywającego od zajęć, jest hodowla kwiatów. Mówią też wiele bardzo o uczynkach jej miłosierdzia, które spełnia sama, i o miłości dzieci wogóle, co jej nadaje cechę odrębną w pośród całej rzeszy kobiet tej samej co ona sfery społecznej i towarzyskiej.

Mówiąc o szpetnem próżniactwie dziewczyny młodej w rodzinach milionerów i o jednej z przyczyn jego, mianowicie zupełnem usunięciu z pod zarządu kobiecego wszystkiego, co się liczy do spraw domowych, podaje Norvins jeden bardzo ciekawy szczegół, który uważamy za konieczne powtórzyć tutaj.

Kobieta wielomilionowa posiada w Ameryce indywiduum, na które zdaje cały trud i zachód domowy. Jest to mężczyzna, uposażony w charakter mistrza ceremonii, jakiś majordom, którego Norvins nazywa *gentilhomme, d'antichambre*—po angielsku *gentleman*

in waiting. Do niego należy dressura służby, do niego obmyślanie festynów i układ obiadowego *menu*, płacenie rachunku dostawcom, w potrzebie jego rzeczą bywa nawet prowadzenie kotyliona. A musi on mieć potrzebne do tej funkcyi wiadomości i ogładę, bo rekrutuje się go zwykle z pośród dawnych utracyuszów, z grona zrujnowanej młodzieży złotej—ze sfery pieniężnego high-life'u jednem słowem.

I oto widzimy, że w społeczności niby demokratycznej, a nawet uchodzącej za jej pierwowzór, zmartwychwstaje nam wstrętna postać towarzyskiego komparsa, popychadła, którego kwalifikacyę wyłączną stanowią jego dawne grzechy—po naszemu mówiąc darmozjada i pieczeniarza społeczeństw dawnych, którego my mieliśmy już za pochowanego w Europie od wieku bez mała. Ta Ameryka może doprawdy obrzydzić demokracyę i odebrać wiarę w doskonalenie się stopniowe społeczeństw ludzkich. Stare grzechy i występki, przesądy i nadużycia, zanikające w naszym świecie, ożywają tam na nowo, ku zdumieniu łatwowiernych wyznawców wszechwładnego postępu.

Na zakończenie daje Norvins fakt autentyczny, dowodzący do jakiego stopnia posuwają Amerykanki milionowe ducha reklamy i jak oceniają to, co im przynosi zaszczyt — na czem jednem słowem zakładają one sławę swoją i wziętość. Oto fakt, o którym mówimy:

Pewien młody aspirant do karyery reportersko-dziennikarskiej zgłosił się do niego, Norvinsa, o protekcyę do jednej z wyroczni ówczesnych mody. Dama ta zamieszkała w New-Yorku, była jego kuzynką i uzyskać do niej wstęp, a co ważniejsza uszczknąć w rozmowie kilka szczegółów, dotyczących nadchodzącego sezonu, było dla chudziutkiego reportera prawie że karyerą w jego zawodzie.

Norvins dał ten list polecający, a przyjmując nazajutrz uszczęśliwionego debiutanta, który mu przychodził złożyć podziękowanie, taką w przybliżeniu miał z nim rozmowę:

— Cóż? zadowolony pan jesteś? Otrzymałeś to, co ci było potrzebnem?

— Ach, panie! Mam wszystko—mam więcej, niż się spodziewać mogłem. Pani X. nie ograniczyła się do odpowiedzi na moje pytania; dostarczyła mi z całą uprzejmością szczegółów, o jakich nie marzyłem.

— No dobrze, ale przecież kuzynka moja wiedziała, że jesteś reporterem, i że reporterzy na punkcie dyskrecyi są ostatnimi z ludzi.

— W danym wypadku to, co ja wyjawić zamierzam nie będzie niedyskrecyą. Pani X. pokazała mi swoją garderobę, toalety świeżo nadeszłe, koronki i wszystką bieliznę przysłaną jej z Paryża, aż do szczególików najpoufniejszych; upoważniła mię przytem do robienia notat, z obawy, abym nie przepomniał czegokolwiek.

Protektor po usłyszeniu tej relacyi zamyślił się kłopotliwie, a przezwyciężywszy niechęć, zwrócił się do swego gościa i odezwał tonem pojednawczym:

— Będzie to może panu przykrem zrezygnować z tych wiadomości, które zdobyłeś za mojem pośrednictwem—niemniej ja będę obstawać przy tem, abyś nie robił użytku z tego interviewu. Nie darowałbym sobie nigdy, aby panią X. spotkała kiedykolwiek nieprzyjemność odczytywania w gazetach tego, co się panu o niej podoba napisać. Wierzaj mi, zostaw to wszystko! Coby powiedziały jej przyjaciółki i znajome?...

— Zrobię, co pan zechcesz—przerwał w tem miejscu reporter — ale chciałbym uspokoić pana i co do pani X., i co do tych jej przyjaciółek. Oto kilkanaście listów. Chciej pan przeczytać. To właśnie te wszystkie panie po usłyszeniu z ust pani X. o wizycie mojej i ewentualnych jej następstwach, proszą mnie, aby je odwiedzić, i zebrać dla publicznej wiadomości to wszystko, z czem się one również mają do zaprodukowania.

Komentarzy i objaśnień nie wymaga chyba ten fakt.

W konkluzyi powiada L. de Norvins, że milionerka amerykańska jest pod względem umysłowości nietylko różną od starych i młodych kobiet cywilizacyi europejskiej, ale jest odmienną od wszystkich rodaczek swoich poza jej sferą — jest sama przez się zjawiskiem ujemnem, jakiego nie znajdujemy w historyi ludzkości całej.

K.

Z nauki czystej i stosowanej.

Środki dezynfekcyjne i konserwowanie produktów spożywczych. — Dlaczego ziemia pachnie? — Zuchwała wyprawa nadpowietrzna.

Dzięki postępom bakteryologii, to jest nauki o mikroskopowych organizmach, wiemy dziś, że takie procesy, jak gnicie, jełczenie, próchnienie, wogóle psucie się ciał roślinnego i zwierzęcego pochodzenia, polega na niszczącej, rozkładowej działalności mikrobów. Drobne te istotki znajdują się w wodzie, w powietrzu i w ziemi, dlatego też trudno uchronić cośkolwiek od ich inwazyi.

Znany wróg jest jednak łatwiejszy do pokonania, aniżeli ukryty; zrozumiawszy istotę gnicia, możemy walczyć z niem skuteczniej; walka ta polega na zabijaniu owych szkodliwych mikrobów, lub niedopuszczaniu ich do produktów, które pragniemy zabezpieczyć od zepsucia.

Jaką drogę należy obrać po temu?

Najsilniej działającymi na mikroby i grzybki środkami jest sublimat gryzący, kwas karbolowy, chlor i wszelkie utleniające środki. Sublimat i karbol znalazły też szerokie zastosowanie w chirurgii do przemywania ran i przyczyniły się niesłychanie do rozwoju tej gałęzi medycyny. Niepodobna jednak używać ich do konserwowania materyałów spożywczych, gdyż są nadzwyczaj silną trucizną; zabiłyby one nietylko wszelkie fermenty, ale i tego, ktoby spożył zabezpieczone w ten sposób produkty.

Oprócz karbolu i sublimatu chemia zna wszelako cały szereg innych substancyj, nie działających wprawdzie tak gwałtownie, jak tamte, ale posiadających pożądane antyseptyczne własności.

Z pomiędzy tych substancyj wymienimy: kwas borny, formol (roztwór aldehydu mrówczanego), kwas salicylowy, nadmanganian potasu (kali hypermanganicum). Ciała te są oddawna używane jako środki konserwujące. Kwas borny znajdujemy często w kupnem maśle, mleku, w konserwach rozmaitego rodzaju. Handlujący rzucili się do nowych sposobów, które chroniłyby ich od przykrych strat i pozwoliły przesyłać towar na odległe rynki.

Atoli zrodziło się świeżo nader doniosłe dla zdrowia publicznego pytanie: czy owe, uważane za niewinne, środki, są takimi w samej rzeczy? Czy konsumenci nie przypłacają pewnemi zaburzeniami w swych organizmach owe metody konserwowania artykułów spożywczych?

Przedsięwzięte badania doprowadziły do wniosków bynajmniej niepożądanych.

Przekonano się mianowicie, że kwas borny wywołuje zawsze zapalenie przewodu pokarmowego, działa niszcząco na błony i tkanki, a nawet może wywołać ciężkie dolegliwości, jak bóle żołądkowe, dyaryę, womity, niestrawność z brakiem apetytu, palenie i ciśnienie w dołku, zaburzenia w wydzielaniach skórnych, egzemę, trądzik i t. d.

Psy, którym dodawano tytułem doświadczenia po 5 decigramów boraksu dziennie, do jadła, pozdychały pomiędzy 5-tym a 9-tym dniem.

Inny przykład: od paru lat ukazał się formol, albo inaczej formalina, a dziś prawie wszędzie można go już dostać.

Lekceważący zdrowie bliźniego przedsiębiorcy, zaczynają zaprawiać nim mleko!

Zbytecznie chyba dodawać, że taka gryząca, bo wywołująca łzy z oczu i kaszel, substancya nie może oddziaływać dobrze na żołądek i kiszki.

Już trzy, czy cztery lata temu odkryto w warszawskiem piwie, a także w winach krymskich i kaukazkich, obecność kwasu salicylowego. Z tego powodu powstał pewien hałas, gdyż według powag medycznych kwas salicylowy należy do środków lekarskich silnie działających, a bywa używany przeciw febrze i reumatyzmom. Do dziś dnia zapewne pijemy piwo zaprawne tym specyfikiem.

Najpewniejszym, najzdrowszym środkiem konserwującym jest zawsze zimno i wysoka temperatura.

Przecież na Syberyi, w ujściu rzeki Leny, znaleziono przed laty zaginionego mamuta, z mięsem zupełnie zdatnem do użytku. Zwierzę musiało leżeć w lodzie przynajmniej parę tysięcy lat, ale dzięki mrozom i lodom zachowało się wyśmienicie. Dziś aż z Australii i z Ameryki dowożą do Europy w stanie zamrożonym baraninę, wołowinę, masło, na umyślnie w tym celu urządzonych okrętach.

Każda praktyczna gosposia powinna posiadać w śpiżarni lodownię, a przynajmniej chłodną piwnicę; uciekanie się do wszelkich środków sztucznych należy uważać za szkodliwe.

Dotychczas nie potrafiliśmy zdać sobie sprawy z tego, dlaczego ziemia posiada właściwy

sobie zapach, dający się zwłaszcza uczuwać bardzo wyraźnie po deszczu, spadłym w dzień letni. Dopiero p. Magiora, uczony włoski rozjaśnił nam kwestyę.

Odkrył on w gruncie nowego gatunku bakteryę, którą nazwał *Cladothrix odorifera*.

Wogóle warstwa ziemi urodzajnej jest siedliskiem niezliczonej liczby mikrobów, odgrywających w przyrodzie nader ważną rolę; one to rozkładają cząstki organiczne, zamieniając je na pokarm, przyswajany następnie przez rośliny, one z wody i powietrza wytwarzają pewne substancye, niezbędne dla wegetacyi, ba! one żyją nawet na korzeniach niektórych roślin, i tworzą z niemi pewien rodzaj spółki, polegającej na wzajemnej wymianie usług, a nazwanej w nauce symbiozą.

P. Magiora w gramie ziemi, wziętej w okolicach Rzymu, znalazł 11 milionów owych bakteryi; takaż ilość ziemi z miejskiej ulicy zawierała aż 78 milionów tych istot.

Zapach właściwy świeżo poruszonej ziemi jest skutkiem działalności bakteryi *Cladothrix odorifera*, która wydziela niezbadany jeszcze bliżej płyn, a para tego płynu posiada ową charakterystyczną woń.

Kolonia nowej bakteryi ma barwę białą, wapienną, sam zaś mikrob jest przezroczysty i kształtu mikroskopijnych niteczek; rozmnaża się drogą ustawicznego dzielenia na niezależne od siebie połówki.

(Dokończenie nastąpi).

STARY MUZYK.

Sylwetka z natury.

(Dokończenie).

Co do tego starca, to wypadnie powiedzieć, że poza sztuką swoją był i psychologiem niezłym, a w danym wypadku dawał dowody proroczego daru nawet.

Razu pewnego dał nam znać nasz znajomy wspólny, że żadną miarą na oznaczoną godzinę nie będzie się mógł stawić. Po kilku złośliwych z mojej strony komentarzach do tej nieobecności wystosowanych, których stary muzyk-pedagog zdawał się nie słyszeć, albo nierozumieć, postanowiliśmy parę wolnych godzin, które miał każdy przed sobą, poświęcić przechadzce. Maj był w całym rozkwicie swoim, a brzegi Wisły pod Warszawą złocone zachodem majowego słońca, mają swój czar niezrównany, któremu nikt z ludzi, w jakibądź sposób związanych z tem miastem, oprzeć się nie może. I mój starzec ożywił się wyraźnie, twarz mu się wypogodziła, oczy nabrały blasku, jednem słowem dostrzegałem w nim te wszystkie oznaki, przy których można zajrzeć człowiekowi głębiej do jego wnętrza, albo odgrzebać coś ze wspomnień przeszłości. Chciałem wyzyskać to usposobienie przyjazne, i dlatego bez żadnych wstępów zagadnąłem:

— O wielu uczniach pańskich słyszałem już — o tym, który jest panu najbliższym i największą mu zaszczytu przynosi, wiem mało, a z ust pańskich kilka słów zaledwie, oderwanych w ogólniejszej rozmowie.

— A tak, ale to sobie pan powinieneś łatwo objaśnić. Nie liczę ja się tak bardzo ze względami towarzyskimi, ale rad unikam tego, co ściąga śmieszność, a ojciec opiewający chwałę syna, zawsze trochę chociaż śmiesznym być musi.

A po dłuższej przerwie zaczął niby do siebie:

— On, to dalszy ciąg mojej istoty — jej część z pewnością najlepsza; to moje nadzieje wszystkie, niepokoje, moja troska i moje noce bezsenne. Młody jesteś, mój panie, a młodzi nigdy tego należycie nie zrozumieją. To trzeba przeżywać takie rzeczy koniecznie. Czy pan znasz Adasia?

— Grę jego słyszałem. Osobiście zamieniliśmy kilka ogólników zaledwie. Jak panu wiadomo, w innych zupełnie obracamy się sferach towarzyskich.

— A co pan mówisz o grze?

— Jakkolwiek zrobiła na mnie po dwakroć wrażenie bardzo potężne, sądzę, że nie oceniam jej jak należy. Jest kilka przyczyn po temu. Pierwszą i najważniejszą z nich jest moje niewtajemniczenie w arkana sztuki, niedopuszczające pochwycenia tych subtelności, które grę jego robią wyższą od wielu innych, uznanych jako dobre, poprawne i t. d. Większa przytem część tego, z czem się produkują publicznie muzycy tego stopnia rozgłosu co on, stoi poza granicami mojego odczuwania wrażeń muzycznych.

— Nie rozumiecie, bo nie chcecie.

Nie miałem zamiaru wszczynać sporu, bo to nie sprzyjało moim widokom, a chciałem koniecznie dzisiaj coś z osobistych przejść życiowych tego człowieka usłyszeć. Znowu tedy mieliśmy pauzę w rozmowie, ale byłem cierpliwym, bo widziałem, że starzec potrzebuje mówić i będzie mówił.

— Adaś, panie kochany, urodził się muzykiem — odezwał się nareszcie. — Wiem, co chcesz powiedzieć. Masz na ustach, że urodził się dzieckiem muzyka; ale ja nie wiem sam, jaka część jego geniuszu należy do mnie, a co jest jego własnością. Domyślał się, odgadywał, wyprzedzał, zawsze dziwił obcych, a co ważniejsza dziwił mnie. Ze względów czysto pedagogicznych niechętnie pozwalałem mu grywać w towarzystwie. Ludzie psują dziecko i najczęściej głupio psują, a te organizacye artystyczne, takie same przez się spragnione oklasków. Wiedziałem ja to wszystko, ale przytem wiedziałem i wiele innych rzeczy. Znałem moje środki materyalne, nie mogłem niewiedzieć o tem, czego się w Warszawie nauczyć można, a wyznaję, że badając z dnia na dzień rozwój tego dziesięcioletniego dziecka, zaczynałem się z trwogą liczyć z tem, co ja mu jeszcze dać zdołam w przyszłości bardzo już niedalekiej. Czyżby on miał skończyć, jak ja, na udzielaniu lekcyi i grywaniu w orkiestrze teatralnej? Ależ to byłoby okropne! myślałem nieraz.

Pewnego dnia przeczytałem w „Kuryerze," że Servais przyjeżdża do Warszawy. W naszym świecie muzykalnym taki przyjazd, to epoka, i dlatego rozmów, przewidywań, przypuszczeń, było na każdym kroku i na każdą porę dnia, aż do zbytku. Mnie osobiście te odwiedziny Warszawy przez wielkiego wiolonczellistę, wydały się zdarzeniem Opatrznościowem. Im więcej myślałem o nich, tem głębiej utwierdzała się we mnie myśl, że albo ten człowiek. albo nikt nie wydźwignie mnie z moich kłopotów. Ale wraz z tem przybywała trudności wykonania moc ogromna — trudności prawie nieprzezwyciężonych. Bo czemże naprawdę byłem ja sam? Dla Warszawian dobrym może nauczycielem muzyki — dla takiego potentata, grajkiem, jakich tysiące liczy Europa. Trzeba tedy było protekcyi, wstawiennictwa rozmaitych osób wysoko położonych, żeby małego taki mistrz usłyszeć chciał przynajmniej, a jeśli zrobi to ustępstwo, to jak się zaprezentuje z grą swoją chłopiec, bo to panie, dziecko było przecież, dziecko, które przy instrumencie dziwacznie, a nawet śmiesznie trochę wyglądało. Nuż zlęknie się, i na raz jeden koniec jego karyerze, nie mówiąc już o tem, że stary, głupi ojciec ośmieszy się na resztę życia.

Mimo wszystkiego, postanowiłem próbować. Należało zacząć od tego, żeby chłopca usłyszał ktoś z tych mecenasów sztuki, a potem dopiero tak, jak to pan rozumiesz: do Boga przez jego świętych, a do króla przez ministrów.

Rzecz nie była łatwa, ale pierwsze kroki poszły dosyć gładko. Dawałem ja lekcye w domu p. J., u niego zbierał się cały ówczesny świat artystyczny — do niego musiałem przyprowadzić Adasia, aby go tam osądził najpierw ten nasz areopag miejscowy. Udało się. Chłopiec grał śmiało, był sobą, wrażenie zrobił, jak na niego, znaczne. Kiedym nazajutrz zrobił panu J. propozycyę, czyby on sam nie wziął na siebie przedstawienie Adasia Servais'emu, zgodził się na to chętnie, bo nawet byli oni ze sobą znajomi od dosyć dawna zagranicą. Tak szło szczęśliwie zrazu, że aż mię niepokój zaczął ogarniać, bo wogóle nie lubię, kiedy co z początku idzie nadto pomyślnie. Jakoż miałem słuszność niepokoić się. Wszystko zapowiadało się jak najlepiej dopóki Servais nie wysiadł z wagonu kolejowego. Od tej chwili trudności wyrastały jedne z drugich. Najprzód więc znużony był podróżą i nie mógł przecie zaczynać od Adasia, jak gdyby od najważniejszej ze spraw, jakie na niego czekały w Warszawie. Potem przyszły koncerty, w przestankach między nimi wypoczynki mistrza, i zgotowane dla niego bale, śniadania, obiady, owacye, tak, że nawet jednego dnia mój protektor, na którym zakładałem wszystko, z odcieniem pewnej niecierpliwości powiedział mi:

— Cóż chcesz, mój kochany H. Na to się jest Servais'm, żeby módz kaprysić, odkładać i t. d. Wzmiankowałem mu, zaręczam ci, że wzmiankowałem—obiecał, ale przecież ja mu nakazać tego nie mogę. Zdajesz się nie wierzyć — prawda? A! kiedy tak, to ja ręce umywam od wszystkiego. Zawsze miałem od ludzi wdzięczność podobną. Za twoje myto jeszcze cię obito. Ale przyznam się, że nie spodziewałem się tego po tobie, panie H. Bardzo mi przykro!

Rozstaliśmy się, i odtąd wolno mi było uważać się za pozostawionego losowi wraz

z mojem dzieckiem i jego przyszłą promocyą.

Tego samego dnia wieczorem pokazano mi w loży pierwszego piętra Servais'go. Przyznam się panu, że ścisnęło mi się serce na widok tych oznak szacunku, jakie ten człowiek odbierał. Cały nasz światek artystyczny i literacki przeszedł w antraktach przez tę lożę. Gdzie tedy było szukać środka? Na domiar wszystkiego usłyszałem rozmowę między kolegami, z której tego tylko dowiedziałem się, że mistrz opuszcza Warszawę pojutrze rannym pociągiem.

Basta! skończone! pomyślałem z goryczą. Ale nie było czasu na te smutne rozpamiętywania, bo oto stanął przed pulpitem Quattrini i dawał kilku uderzeniami batuty znać, że akt rozpoczyna się.

Mogę powiedzieć, że zrozpaczony powróciłem do domu. Kiedy zdarzyć się mogła druga sposobność? a potem gdzie jest drugi Servais? Z taką sławą ustaloną człowieka nie było w Europie z największą pewnością, nadto znaną była jego gotowość popierania młodych talentów. W nocy sen nie przychodził, a że myśl obracała się bez przestanku w tem jednem wyłącznem kole, więc nie dziw, że po wyczerpnięciu wszystkich możliwych kombinacyj, strzeliło mi naraz do głowy:

A gdybym ja też poszedł jutro z chłopcem sam? Bez wstępów, przedstawiań, protekcyi, poparcia—ot tak, po prostu z mostu, jak to wy mówicie.

Tak to na mnie podziałało zbawiennie, że postanowiwszy trzymać się niezmiennie swego, usnąłem i obudziłem się rzeźwy i gotów do tej ostatniej, co prawda bardzo ryzykownej, próby.

Adasiowi powiedziałem, gdzie i po co idziemy. Ani się zasmucił, ani ucieszył, ani zadziwił. Ruszyłem ramionami na tę dziecinną bezkłopotliwość, bo co tu i mówić do takiego, któremu się wydało naturalnem grać w obecności Servais'go, mając lat dziesięć wieku.

O godzinie 9½ rano byliśmy już w Rzymskim hotelu. Chłopcu zapowiedziałem co ma grać najpierw, co potem, a co w takim razie dopiero, gdyby od niego zażądano jeszcze jednej próby. To ostatnie był to mój obliczony wielki efekt: sztuka Servais'go pod smyczkiem dziesięcioletniego bębna. Niema co mówić, dobrze się hultaj zastosował do moich poleceń. Aj! te dzieci, panie kochany, to tyrany prawdziwe. Jakie mi ten chłopak przygotował 5 minut strachu! Gdybym już nie był siwy, to wtedy byłbym posiwiał. Wchodzimy, pytam się, czy Servais wstał — służba powiada mi, że wstał. Dawszy trochę chłopcu odpocząć na korytarzu, stukam. Głos ze środka wzywa do wejścia! Aj! panie kochany! Dwadzieścia lat temu, a ja to wszystko widzę, jak gdyby dzisiaj. Ledwie spojrzał na mnie i na Adasia, trzymającego wiolonczellę, ruszył ramionami i odezwał się do kogoś, co siedział za firanką, ukryty dla mnie. Aha! cudowne dziecko! I to od samego rana! *Pas de chance!* Nie wiedziałem ja tam bardzo, co mówiłem wtedy do niego, ale to było chyba wszystko jedno zupełnie, bo gdyby to było nawet co mądrego, to on byłby także nie zrozumiał.

Ta myśl sama o jakiejś muzyce dziecka musiała go drażnić, to też gestem znudzonego człowieka, który z przykrością ulega przymusowi, wskazał nam obu wejście do pierwszego pokoju, sam usiadł w drugim za stołem, i rzuciwszy zwięzłe: „Proszę zagrać cokolwiek," zabrał się do piłowania paznogci.

Czułem, żeśmy trafili najgorzej, ale kto sobie wyobrazi moje przerażenie, kiedy po pierwszym takcie dojrzałem gniewne zmarszczenie brwi, a wraz z tem rzucenie pilniczkiem o stół.

Wystawże pan sobie, ten mały szaleniec zaczął grać Servais'mu, odrazu jego własny utwór—utwór pełen wartości, ale przechodzący niewątpliwie repertuar każdego dziecka tego wieku. Absurd był—no, absurd bezwarunkowy! Można było zaryzykować i to, jakem chciał ja sam, ale później, ale ułagodziwszy go czemś mniejszem, zjednawszy sobie poprzednio już jego jaką taką przychylność poprawnem wykonaniem. W ten sposób ściągaliśmy na siebie tylko katastrofę. Chciałem dać znak dziecku, alem się w porę opamiętał, że to pogorszy rzecz jeszcze, więc już tylko zdrętwiałem, zastygłem, oniemiałem w tej pozycyi, czekając co się stanie. Ale to panie kochany, to nie z Servais'm była taka robota.

Nie zdążył więcej ten smarkacz zagrać, jak parę taktów, a ten już podniósł głowę i chwytać zaczął uchem to, co go dochodziło z drugiego pokoju.

W chwilę potem stał już we drzwiach, i uśmiechając się, spoglądał raz na mnie, to na grającego i dawał głową znaki pewnego, jak mi się zdawało, zadowolenia. To też to nagłe przejście od rozpaczy do nadziei tak mi, panie kochany, zamroczyło w głowie, że przymknąłem oczy i oparty o ścianę, zbudziłem się drgnąwszy, dopiero, gdym usłyszał wtór drugiej wiolonczelli, śpiewającej niezrównanymi dźwięki pod ręką wielkiego mistrza. Co to była za chwila, tego ja nie zdołam opowiedzieć, ale też, panie kochany, tego było mi za wiele, bo naprawdę zbytek miałem wzruszeń wszystkich. Potem pamiętam już tylko, że mi sam Servais podawał szklankę wody, że mię ściskał za ręce, i swoim rubaszno-serdecznym tonem przywoływał do przytomności.

— A to stary dziwaczny dopiero! — powtarzał.—Przyprowadza mi takiego małego dziwoląga, i zachciewa mu się z tego omdlewać. Przecież nie powiesz chyba, staruszku, że masz takich więcej między twymi uczniami.

Wiedział już wszystko, ale od kogo? Zdumiony byłem, ale i to wyjaśniło się niebawem.

Resztę już pan wiesz. Servais wziął go ze sobą do Bruxelli. Jemu zawdzięcza Adaś całą swoją karyerę europejską niewątpliwie. Nie obeszło się to dramatyczne dla mnie przejście i bez epizodu komicznego. Wystawże pan sobie, że osobą, która się u Servais'go wtedy za firanką tak wstydliwie ukrywała, był pan J. Skoro tylko zobaczył, jaki obrót biorą rzeczy, pierwszym był do powinszowań tam na miejscu, a i ludziom, którzy go potem chcieli słuchać, opowiadał, jak to on jeden poznał się na talencie Adasia, jak go poparł u Servais'go — wogóle uważał się za twórcę jego losu. Zapewne po latach wprawy sam w tę powieść swoją uwierzył.

A. S.

Z niewydanych kartek

pozostałych po J. J. Rousseau.

. . . .

„Niema nic zawodniejszego, jak wysnuwanie wniosków o przyszłem powołaniu dziecka, ze skłonności, jakie ono zdaje się objawiać. To powołanie zależnem jest w stopniu stokroć wyższym od pierwszego lepszego spotkania, aniżeli od skłonności, a pamiętać też należy, że te ostatnie nie dowodzą jeszcze w dziecku geniuszu — prawdziwego geniuszu.

„Jednemu wydaje się, że będzie generałem, gdy słyszy bicie w bęben — inny, przyglądający się budowie domu uważa się za architekta.

„Mój ogrodnik, Justyn, widząc mnie rysującego, zapalił się do rysunku. Posłałem go do Lozanny na naukę. Uważał się już za malarza, a pozostał czem był—dobrym ogrodnikiem.

„Przypadek, żądza wydobycia się na wierzch, oto sprężyny, które stanowią o powołaniu człowieka.

„Gdyby każdy znał swój talent od dzieciństwa, bardzo mało znalazłoby się takich, którzyby go doskonalić chcieli, a z tych, którzyby poszli za głosem talentu, jeszcze mniej byłoby skłonych do łamania się z niesprawiedliwością przeszkód i do zwyciężania nicgodnego współzawodnictwa.

„Człowiek czujący własną słabość i nieudolność, wzywa do współpracownictwa język, podczas gdy zdolniejsi od niego zawsze gardzą podobną pomocą.

„Istotny talent i geniusz prawdziwy cechuje zawsze prostota pewna. Dzięki jej jest on mniej bojaźliwym, nie tak ruchliwym i skłonnym do ujawnienia koniecznie na zewnątrz tego, czem jest.

„Ludzie są często skłonni brać za talent to, co jest tylko gorącą chęcią błyszczenia.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Z. W. Suknia jedwabna powłóczysta. Kolor dowolny, np. jasny lila, szafirowy, perłowy, jasno-bronzowy ze złotym odcieniem. Na głowę do uroczystości kościelnej kapotka aksamitna lub jedwabna, tego co suknia koloru, wiązana pod brodę, z jasnemi piórami. W domu czepeczek z koronki i crêpe chiffon, a jeżeli przyjęcie wieczorowe, to dodane kwiaty, szpilki lub rozety bryłantowe stanowić będą świetne dopełnienie. Kołnierz i ogarnirowanie rękawów koronkowe.

Panu M. K. w Sabinie. Najlepsze manekiny są w sklepie Chrzanowskiego na Bielańskiej ulicy wprost Tłomackiej. Rozsuwane są drogie, zwyczajne zaś po kilka rubli sztuka.

KRONIKA.

Na całą tedy resztę roku pożegnaliśmy nasz karnawał zimowy. Przyjdą po nim następne sezonowe, ale z tym pustnikiem i szaławiłą skończone.

W jakim nastroju rozstawali się z nim ludzie, to się chyba w żaden sposób uogólnić nie da. Byli zapewne tacy i były takie, którzy mu ten jedyny mieli do zrobienia zarzut, że trwał zbyt krótko. Stojący na zewnątrz tego ruchu z racyi wieku, położenia, a może i dzięki jakimś nienadającym się do upowszechnienia zasadom, patrzyli, słuchali i ustawiali pewne cyfry do swego osobistego, a kto wie czy nie zbiorowego, bilansu. Nakoniec malkontenci zdecydowani, śledziennicy niepoprawni, i tak zwani ptacy złej wróżby, bez uciekania się do czterech działań, sumaryczną a ryczałtową oceną błogosławili dogorywającemu w ostatkowych podskokach szaleńcowi.

Nie trzeba was zapewne przekonywać, czytelniczki szanowne, że sprawozdawcy, w żadnej z dwóch grup na krańcach stojących mieścić się nie przystało. Weselić mu się nie było wolno wraz z tymi, którzy brali udział najczynniejszy, bo byście tym sposobem zamiast kronikarskiej treściwej wzmianki, dostali coś w rodzaju trenów lub elegii na cześć nieodżałowanego. Tem mniej przystoi dzisiaj gorzkiemi uwagi budzić drzemiące wyrzuty sumień waszych, choćby tylko z racyi, że byłby to jeden więcej symptom żalu objawionego nie w porę, który jak wiadomo równa się co do skutków, poszukiwaniu godziny na kompasie w jakiś czas po zachodzie słońca. Skoro tedy pozostawiliśmy sobie miejsce pośrednie przez ciąg tych sześciotygodniowych zapustnych uciech, powiedzmy co się nam z wrażeń wzrokowych i słuchowych na treściwy materyał sprawozdawczy zebrać udało.

Ilościowo i jakościowo karnawał tegoroczny z żadnym z trzydziestu kilku poprzedników swoich porównanym być nie może. Był bardziej, niż wszystkie tamte ochoczy, uczestnicy czynni jego uciech mieli animuszu więcej, niż się spodziewano nawet, ztąd ich wynalazczość w mnożeniu zabaw okazała się wyższą nad przeciętność wszelką, a hojność wyższą nad wszelkie uznanie.

Skoro tedy musimy być treściwymi w tej kronikarskiej wzmiance, powiemy zatem to, co nam udzielały stopniowo sfery najkompetentniejsze, to znaczy sami czynni szermierze, a potem grupy ludzi żyjących z tego ruchu. Pierwsi w tych bezpośrednio popielcowych rozmyślaniach przyznają jednozgodnie, że są wyczerpani, znużeni aż do niemocy, i że ich wodzireje, to były w końcu ofiary, których tylko ze względów estetycznych, do żydowskich koni porównywać się nie godzi—że jednem słowem jeśli idzie o upojenia, o uciechę i szał, tośmy byli w roku bieżącym upojeni, ucieszeni... Trzeciego przymiotnika, pochodzącego od tego trzeciego wyrazu, nie możemy wyprowadzić, z racyi, żeśmy się do beznamiętnej oceny zobowiązali.

Co się tyczy werdyktu restauratorów, fryzyerów, karetników, modystek, dorożkarzy i t. d., i t. d., to ci wszyscy zabierają się podobno do zbiorowych dziękczynień pod adresem tych kół, które przykładały się do ożywienia zabaw, z taką po ścisłym obrachunku znaczącą wzmianką, że jeszcze dwa takie karnawały, a niejeden z tych przedsiębiorców będzie mógł spocząć na dobrze zapracowanych zyskach i obłowach.

Pogadanka.

Ponieważ na świecie są gusta najrozmaitsze a i rozmaite stopnie zamożności, sądzę, że zadowolę szanowne czytelniczki „Tygodnika," podając im dziś opis skromnych i zbytkowniejszych negliżowych ubrań z zagranicznych warsztatów, które każda podług kieszeni i własnego uznania zastosować będzie mogła.

Materyały ogólnie używane na ubrania tego rodzaju, są w kolorach jasnych. Materye czysto wełniane, mimo że jasne, piorą się dobrze i czysto, nawet bez prucia, czyszczą się za pomocą szczotki i mydła. Pranie chemiczne, powtarzające się często, staje się w końcu kosztownem i należy już do wydatków zbytecznych. Trzeba zatem głównie na domowe ubrania wybierać materye praktyczne. Dobre są więc miękkie flanelki, cienkie szewioty, lekkie krepy wełniane; przybrane grubszą koronką lub gipiurą, tworzą razem eleganckie ubranie. Radzić można także szkockie materye, jako praktyczne, o żywych, barwnych kolorach; przybrane aksamitem lub grubą koronką, bardzo gustowne tworzą zestawienie.

Otóż pierwszy deshabillé z szkockiej materyi, na tle białem krata, utworzona z pasów różowych i zielonych w dwóch cieniach. Plecy mają głębokie kontrafałdy, które rozchodząc się od dołu, poszerzają suknię, dając jej potrzebny obwód szeroki. Fałdy te z tyłu zaczynają się pod karczkiem z aksamitu vert émeraude; przybiera go wkoło aplikacya koronkowa. Z przodu aksamit zielony, łącząc się z karczkiem, przedłuża w kliniasty pas, dochodzący aż do dołu sukni.

Drugi model był z materyi w kratę, fiołkowej i ivoire, zapięty na boku na fiołkowe brandebury, miał wielki col-châle z aksamitu fiołkowego i także mankiety.

Trzeci w stylu Anny Austryackiej z sukna koloru crême, z tyłu bardzo do figury przylegający; otwarty przód, zkąd ukazuje się podkład różowy jedwabny, poprzecznemi naszyty pasami z gipiury białej. Wielki kołnierz gipiurowy biały, przytrzymują z przodu choux z różowego atłasu.

Poza podanemi tutaj modelami, są elegantki wielkiego świata, które wełny nie protegują i skromnej wełnianej toalety w garderobie nie posiadają prawie, to też i na deshabillés używają tylko aksamitów lub ciężkich jedwabnych materyi; podajemy zatem opis zbytkownych tych ubrań, dla gustu i wykwintu—to samo mieć można w połączeniu innem, efekt będzie ten sam w znacznie tańszej kombinacyi.

Suknia forme princesse z ciemno-szafirowego aksamitu, z tyłu mały tren. Z przodu przybrana pletnią z wstążki, wykonaną w kolorze paille, które tworzą wzdłuż rodzaj brandeburów. Od przodu dany plastron przez całą suknię z bladoniebieskiej materyi, pokryty koronką. Dół sukni przybrany jest płaskimi trzema wolancikami jeden z aksamitu tego, co suknia, drugi z bladoniebieskiej materyi. Rękawy a la juive z aksamitu tego co i suknia—drugie obcisłe z koronki białej.

W stylu Directoire suknia z ciężkiej jasno-zielonej materyi. Bok otwarty ukazuje klin z atłasu białego. Stanik krzyżuje się na piersiach, i ma jeden duży ranwers plisowany z atłasu białego. Krawat z mousseline de soie białego, duży, upięty pod szyją.

Najpiękniejszy wszakże ze wszystkich był z różowej materyi jedwabnej, deshabillé z tyłu przylegający do figury, z przodu bluzkową formą. Plastron aksamitny w kolorze rubinowym zdobił przód. Kołnierz duży i mankiety także w kolorze rubinowym. Żabot koronkowy biały i mankiety koronkowe.

Staniki u dzisiejszych kostyumów tak skromne, nieraz panie w kłopot wprowadzają; dało to początek wykwintnej elegancyi, którą podziwiamy w tysiącznych szmizetkach, żabocikach. Tryumfuje tu mousseline de soie; ileż pięknych rzeczy widzimy codzień wykonanych zręcznemi rękami naszych pań modystek z tego przejrzystego materyału. Najwybredniejsze panie muszą wśród tego bogactwa znaleźć coś odpowiedniego.

Szmizetki bufkowane i takież rękawy do ciemnego staniczka wyciętego, kilka poprzecznych pasków wstążeczki atłasowej, tu i ówdzie kokarda i już toaleta gotowa. Cravate-jabot z illuzyi lub mousseline de soie, przybrane pięknym vieux point, wszystkie te mignons accessoires, są czasem bardzo przydatne, mianowicie na wsi, gdzie nagle wypadnie zreformować stanik sukni. Dobrze więc, jeżeli panie będąc w stolicy, zaopatrzą się w te dodatki; często zręczne rączki kupiwszy kilka łokci modnego mousseline de soie, same ładne ubrania tworzą. Praktycznie to i oszczędnie, a tego nie można nigdy dosyć zalecać.

Wskazówki i rady.

Poncz perski różany.

Butelka szampana (Ecscelsior), pół funta cukru w drobne kawałki porąbanego rozpuścić w kwaterce gorącej wody, gdy wystygnie wlać kieliszek od wina najlepszego spirytusu i także kieliszek likieru „cuirasso vert." W szklaneczki małe pokłaść po kilka listków róży centofolii i po małym kawałku lodu, na to wlać jedną trzecią powyższego płynu, a w chwili, gdy się ma podawać dopełnić go szampanem. Jeżeli szampan jest słodki, to dosyć jest ćwierć funta cukru, naturalnie i wody o jedną trzecią lać mniej. Poncz taki jest bardzo ładną nowością, a taka proporcya powinna wystarczyć na 10 osób.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Ценэурою. Варшава, 2 Февраля 1899 г. Warszawa. Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Nastusia w jednej chwili zmieniła niemiłą lubemu odzież, przystroiła się w najpiękniejszę szaty, i cała biało-błękitna, szeleszcząca jedwabiem i wstęgami, z wieńcem chabru na skroniach, z bukietem konwalii i leśnych dzwonków u piersi, stanęła czarodziejka w środku pokoju, spuściła oczy, z uśmiechem czekała uścisku.

Niedługo czekała.

Wilczek krzyknął z podziwienia, klasnął w ręce, obchodził ją do koła, lubował się jej widokiem, jak gdyby pierwszy raz na nią spoglądał.

Nastusia pomiarkowała, że żałobne jej wymysły nie musiały gościowi przypaść do smaku, wnet więc zawinęła się chyża jak rybka, i w mgnieniu oka znikły pogrzebne kwiaty i kirowe osłony; gromady ptaszków uweselone, podniosły świergotliwy chór; dziewczę wtórowało im wesołym śmiechem; duch życia i wesela owionął zasępione przed chwilą mieszkanie. Dawne smutki i troski, jak puszczyki za nadejściem słońca, tłumnym korowodem ulatywały przez okna.

On jeden, przybyciem, dobrem słowem, czułem spojrzeniem, wywołał to zmartwychwstanie; on życie przynosił z sobą i unosił, on mógł ją zabić i wskrzesić. Ona go tak kochała!...

On to wiedział, ona to czuła — oboje nie posiadali się z radości.

Biedna, o chłopskiem sercu dziewczyna!

Wilczek wcale nie spostrzegał, do jakiego stopnia wesołość ta była głęboką i prawdziwą, nie zważał, że uśmiech Nastusi kołysał się na dziwnie bladych ustach, że oczy miała rozjaśnione, ale blaskiem gorączki raczej niż szczęścia, że w srebrnych tonach głosu przebijał bolesny jakiś, zgrzytliwy dźwięk.

— Słońce niedawno weszło — rzekła, rozstawiając pęki kwiatów; w pałacu ludzie nie spodziewali się, że pan nadjedzie, ale od biedy i tu w domku znajdzie się śniadanie. Co, czy dobrze?

Nastusia poparła zaprosiny co najwdzięczniejszym wzrokiem. Biedaczka rada była go u siebie zatrzymać; tyle samotnych godzin miała do powetowania!

— Prawisz jak z ambony moja miła — odparł żartobliwie Wilczek, niech się dzieje wola twoja! Dla wszystkich dziś święto; kwiaty dostaną wody, ptaszki siemienia, słusznie, aby i na mnie przyszła kolej. Kładę tylko następujący warunek: śniadanie musi wystarczyć dla dwojga, sam jeden niczego nie dotknę; gotowaś mi domieszać Bóg wie jakich czarów.

Nastusia już znikła, i zanim Wilczek miał czas opatrzyć się, dziewczę na śnieżnej bieliźnie zastawiło mu pustelniczy posiłek, którego szczątków panicz w tej chwili nie byłby oddał za najwymyślniejszą lwowską biesiadę.

Zasiadł do stołu; Nastusia naprzeciw wsparła głowę na dłoniach, i z rozkoszą przypatrywała się łaskawemu na jej dary gościowi.

Wilczek pierwszy raz dostrzegł, że ślady żałoby znikły z pokoju, ale pomimo szczerej chęci, głęboko tkwiły jeszcze w obliczu dziewczyny. Chwilowy błysk szczęścia na zupełne rozwianie ich potęgi nie starczył. Pan domku, a więcej jeszcze mieszkanki powstał i w milczeniu ją do serca przycisnął.

— Sama się zabijasz moja luba — rzekł po chwili — smutki do niczego dobrego nie prowadzą. Musisz przyrzec poprawę; przekonaj się, czy wesołe oczy nie lepiej ci przystoją od zapłakanych?... Odtąd przepędzimy troski za góry, za lasy — nieprawdaż moja miła?

— Smutki — troski?... Gdzież one — zkąd ich wziąść?.. — odrzekła tęsknie dziewczyna; bywało tu ich nie mało — dawno, bardzo dawno; przed miesiącami, przed tygodniami, wczoraj — dziś jeszcze z rana. Teraz zapamiętać ich już nie zdołam. Nie ma czego wypędzać, same wszystkie uciekły. Uciekły i nie powrócą, a jeżeli powrócą to już nie uciekną. Panie mój, powiedz, że nie powrócą, ja tak się ich boję! Ale po twoim wyjeździe próżno chciałam się opędzić. Bywało jak się rozzłoszczą, to nigdzie nie dają spokoju. Biegnę do ogrodu, one za mną — uciekam na łąkę do lasu — i tam pędzą w moje ślady. W dzień, w nocy — chwili odetchnąć nie pozwalają. Mrużę oczy, zatykam uszy — słyszę je wszędzie i widzę. Szepcą mi straszne myśli, wyglądają do mnie z kwiatków, włażą ptaszkom w gardziołka, świergocą ich głosem.

Ponakrywałam ptaszki, opuściłam kwiaty, nic nie pomogło!

Nie wiedziałam co począć.

Chcę zasnąć — nie mogę; chcę śpiewać, nie mam głosu; biorę robotę — igła wypada mi z rąk; chcę czytać na książce — papier świeci jak całun, książka jak trumna, czarne głoski niby księża ciągną pogrzebowym szeregiem. Gdyby przynajmniej żałość przed kim wypowiedzieć!... nikogo!... sama jedna! Dopiero dziś zrana, jak gdyby uciął toporem. Wszystko złe znikło; znikło wszystko inne, i znów nic nie widzę, i znów nic nie słyszę, jedno to, na co do końca życia radabym patrzeć, czego do ostatniego tchu radabym słuchać. Wróciłeś mój Panie do biednej Nastusi!

— Wróciłem lube dziecię; żałuję teraz, żem wyjeżdżał, wróciłem na zawsze.

— Na zawsze!... powtórzyła z westchnieniem dziewczyna. Ach, tego słowa nie wymawiajmy! Umrzeć tylko można na zawsze. Kwiaty zawsze nie kwitną i łąki nie zawsze zielone. Słońce im dziś świeci; jutro wicher może je złamać; co nam myśleć, co nam wiedzieć o jutrze! Wczoraj myślałam, że niedługo pożyję, dziś znów tak mi dobrze na świecie, nie chcę znać jutra i żal czasu o niem podumać. A żal jeszcze większy żałować tego, co już minęło. Gdyby mi kto był powiedział: za taki jeden dzień jak dzisiejszy wycierpisz lata boleści; okuta w łańcuchy, w strasznych podziemiach męczennica, przez lata światła nie ujrzysz — odpowiedziałabym: mój dobroczyńco!

— Nie lękaj się, moja miła — rzekł Wilczek, wyciągając ku niej rękę — dni takich wiele jeszcze naliczysz i uśmiechami je tylko opłacisz.

Nastusia siadła mu u nóg; rękę jego w obie dłonie ujęła i swoim zwyczajem, ścigając raz powziętą myśl, mówiła dalej:

— Gdy wyjeżdżasz panie mój, całą mnie z sobą zabierasz. Tu w domku cień tylko się słania, mara, pokutnica bez życia, bez myśli, a czasem i bez nadziei. Wracasz — wnet słońce inaczej świeci i miesiąc srebrniejszy i gwiazdy żywiej mrugają; wróciła z tobą Nastusia, wesoła, szczęśliwa — nie może być inaczej — ona cię nigdy nie opuszczała. Bóg widzi, że mówię prawdę i że co mówię, rozumiem. Ale gdy cię nie widzę, gdym długo samotna, co wówczas dzieje się ze mną?... pojąć, powtórzyć nie zdołam. Wieczorami, szarą godziną, głowa ogniem mi płonie. Zamykam się, biegnę w kąt, zakrywam oczy. Jak nie zakrywać!... Iskry widzę w ciemnościach, słyszę straszne, powłóczne stąpania, sama nie wiem westchnienia czy jęki, szmery, szelesty, stłumione pośmiechy i łkania głuche. Zrywam się — chcę uciekać, drzwi znaleść nie mogę; coś mnie ciągnie za odzież, coś świszcze nad głową.

Dwa razy ledwo mnie docucili.

Nazajutrz trudno mi powstać na nogi; zwlekam się wreszcie z pościeli, zapominam wczorajszych strachów, ale wieczór nadchodzi, i znowu słaniam się jak po zarzewiu.

Marszczysz czoło?... już nic nie powiem. W pałacu, kiedy byłam małą, ludzie mnie zwali waryatką. Ludzie wiejscy jak zaczną o czem gadać to i wygadają.

Nie — nie, przestanę, tak sobie tylko mówiłam. Panie mój — patrz, śmieję się, z całego serca się śmieję!

Łzy błyszczały w oczach dziewczyny, niewypowiedziana boleść łamała jej rysy; tuliła się do niego wzruszona. Wspomnienia znieść nawet nie mogła.

— Pobladłeś w mieście mój panie; z oczu ci patrzy zmęczenie — czy chorowałeś? Troski, zmartwienia nie Bóg zsyła na ciebie; ja codzień ze łzami modlę się, aby wszystkie na mnie obrócił. Teraz wypoczniesz, o złem zapomnisz, odetchniesz przy twojej Nastusi. Tu przynajmniej, smutnym ci być nie wolno; sam powiedziałeś, że w moim domku jam panią. Zawsze tak musisz spoglądać, zawsze, jak teraz — ze śmiejącemi oczyma.

Weź twój obrazek z małego pokoju, zabierz go sobie; malarz nie umiał na ciebie patrzyć — w nocy cię widać malował. Kwiatka jednego nie dałabym mu do odmalowania. Ach gdybym ja miała boże dobro-

dziejstwo, gdybym ja potrafiła malować!.. patrzeć nawet mi na ciebie nie trzeba.

O luby mój, drogi — dziękuję ci, że powróciłeś!

Łzy rozrzewnienia zabłysły w oczach dziewczyny; Wilczek je prędko osuszył, upieścił rozpromienioną twarzyczkę, pytał — zkąd, jeżeli szczęśliwa, na płacz się jej zbiera?

Nastusia odpowiadała mu uśmiechem; wstydliwie kryła oddawna na tęsknem obliczu niewidziany rumieniec.

Z przeszłych smutków, z doznanych bólów, ostatni ślad uleciał; ona nigdy nie doznała niedoli; czyliż całem życiem nie była dla niej teraźniejszość?...

Wilczek upajał się czarownym polnej równianki zapachem, a słodkie te wonie zwolna rozpędzały mu gorączkę mózgu. Zmienny i chmurny jak jesienne niebo, wrócił rozprzężony na duszy, znękany, cierpki, gniewny na los, na ludzi, na siebie. Za pierwszem do tknięciem rodzinnej ziemi, za przestąpieniem jeno szranków zepsucia, fałszu, za postawieniem się wobec żywiołów między ludem zaczerpanych, świętych — niby bajeczny Anteusz, nagle odzyskał siły.

Głębokie zgryzoty sumienia, gryzące niepokoje umysłu, roztarganie ducha, niesmak do samego siebie — zatopił, zaprzepaścił, w jednej myśli, w jednem uczuciu.

Miłość Nastusi wypogodziła mu życie; samo sprzeciwieństwo z niedawnym trybem bytu, niewysłowionym urokiem wytęczowało mu pierwsze dni powrotu na wieś. Być może nawet, że temu to jedynie uczuciu, dziewczyna zawdzięczała szczególny popęd serca, z jakim garnął się ku niej niewdzięczny kochanek.

Nastusia zbawiała zapaleńca od własnych jego przeciw samemu sobie napadów; on czuł to dobrodziejstwo, sercem za nie płacił zbawczyni, i nawzajem wracał ją do życia, do szczęścia, koił jej niepokoje, upieszczał, łagodził tę wrażliwą duszę, błękitną gdy niebo było błękitne—zamroczoną za najlżejszą chmurką na widnokręgu.

Mijały — nie — nie mijały już teraz, mknęły dnie i tygodnie; dla nich obojga czas stracił miarę; nadzieja jutra cieszyła ich, gdy żałowali, że dzień dzisiejszy upłynął. Wilczek powoli zabliźniał w sobie przykre wspomnienia; trawiące niepokoje rozpędził oderwaniem się od wszystkiego co mu przypominało cierpki osad światowych uciech, wyjaśnił sobie widnokrąg myśli tak, że na ostatnich jej krańcach, chmurki najlżejszej nie dostrzegał.

Było to zawieszenie broni w walce, jaką staczał z namiętnościami, z popędem do gwałtownych życia wzruszeń, z własną niespokojną naturą.

Cisza jego umysłu, błogi spokój serca, bynajmniej nie zwiastowały zwycięztwa dobrych zasad, świętego sojuszu z prawdą, z czystem uczuciem.

Przez liczne rodowe pokolenia, zużyta krew za wręcznym tylko a upornym bojem z pierwiastkami zatraty, mogła zakrążyć czystem tętnem, przerodzić się w siłę pełną życia, przyszłości, dzielnych a szlachetnych żywiołów.

W przebojach Wilczka przez życie, nie rozum wolą poparty pchał go czasami na stronę prawdy, ale niewytłumaczona konieczność ducha, której oprzeć się nie mógł, a której następnie rozwinąć, utrzymać na prostej drodze nie potrafił. Biegł zawsze szybko, ale kierować sobą nie umiał; unosić się tylko pozwalał. Nowością dla niego był spokój, nowością prawie oddawna zapomniane wzruszenia serca; z dziecinnym zapałem, jak nowość pochwycił wedwójny, osamotniony byt na wsi—powrót do pierwszych młodości uczuć.

Nadchodziła atoli chwila, gdzie Wilczek zaczynał męczyć wzrok ciągłym widokiem jednostajnego błękitu, gdzie z radością byłby chmurę na nim powitał, a nawet wyzwał i nawałnicę.

Z początku usiłował zaprzeczyć w sobie tę dążność, zżymał się sam na siebie, wmawiał niezachwiane zamiary wytrwania, przymuszał do takichże samych uniesień, jakie wczoraj jeszcze pomimowolny zapał w nim budził; wszystkiemi siły tłumił gwałtowne ku zmianie popędy. Nadaremnie!... niesmak tożsamości i przesyt, coraz uporniej go ogarniały.

Dwa miesiące oddalenia od świata!... dwa miesiące pożycia sam na sam z Nastusią!... Wilczek nigdy tak długo z jednego wątka nie snuł żywota.

Przyszło nareszcie do tego, że z goryczą myślał o jutrze, któremu nie mógł przebaczyć bezpłodności w urozmaiceniu jakąkolwiek odmianą zawsze tego samego szczęścia.

Nastusia w tych zarzutach nie miała jeszcze żadnego udziału. Przeciwnie — zdało się mu, że codzień więcej ją kochał. Byłby gniewem rozsrożał, gdyby kto poważył się zwątpić o prawdzie jego uczucia.

Ależ znowu zawsze i zawsze, jedno i jedno! Ha, gdyby pół wsi chciało spłonąć od piorunu, gdyby wybuchło straszne jakie nieszczęście!... Nikt nawet nie przyjeżdża! Czyliż wszyscy zapomnieli już wesołych progów, czy ani niebo, ani piekło z dna nie wyrzuci jakiego znajomego, czy szatan nie potrafi już opętać i zabłąkać w te strony jakiego gościa?...

Wilczek właśnie domawiał w duszy złowrogich wyrazów, gdy wtem zdala go doszedł turkot powozu.

Zwabiony niby przekleństwem, wywołany piekielną odezwą, zjawiał się Juliusz.

Wilczek krzyknął z radości, do serca go przycisnął, jak zbawcę powitał.

Przyjacielski wyrzut za długą nieobecność nastąpił po oznakach wesela z przybycia winowajcy. Juliusz tłumaczył się natłokiem majątkowych spraw — od ostatniego pobytu we Lwowie przyzwyczaił się przedewszystkiem rozprawiać o swoim majątku.

W istocie, fortuna pożerała go pieszczotami. Dzięki niesłychanym jej łaskom, szczęśliwiec przez dwa miesiące nie dał o sobie znaku. Objeżdżał tymczasem ofiary zapalczywości losu, ściągał wygrane, właził na hypoteki, nadziewał pugilares skryptami.

Syt łupów, zapragnął nareszcie odetchnąć na łonie przyjaźni.

Nastusia tego dnia została samą; nic dziwnego — dowiedziała się, że towarzysz przybył do pałacu.

Juliusz rozgościł się na długi pobyt; gospodarz nałożył mu tę pokutę.

Wilczek doczekał się przecie odmiany, uchwycił drugą strunę, z której mógł wydobyć inne dźwięki, niż ciągłe brzęczenie miłości. Nastusi porzucać nie chciał, przyjaciela atoli również samego zostawiać nie należało; umyślił pogodzić dwa słodkie sercu obowiązki, wyjawił gościowi tajemnicę, którą tenże oddawna ze szczegółami posiadał, i nazajutrz zawiódł go do małego domku.

Zdala, przez otwarte okna doleciał ich srebrny głos dziewczyny.

Nastusia w oczekiwaniu na przybycie kochanka stroiła jak zwykle, wdzięczne swoje ustronie i śpiewała wymarzoną przez siebie, wiejską jakąś piosenkę.

Zbliżyli się cichaczem. Wilczek wszedł pierwszy, drzwi otwarte zaniechał; dziewczyna poskoczyła z uśmiechem, klasnęła w dłonie, chciała mu upaść na szyję — od wczoraj od południa go nie widziała.

W tej chwili Juliusz stanął na progu.

Nastusia lekko krzyknęła, zatrzymała się, jakby do ziemi przykuta; żywy rumieniec wybiegł jej na oblicze.

Po chwili zbladła, strasznie pobladła. Wzrok osłupiały topiła w przychodniu, oczu zdjąć z niego nie mogła. Zdało się jej, że twarz tę raz gdzieś już widziała — ale gdzie?... kiedy?... błędne wspomnienia krążyły jej po głowie. We śnie, czy na jawie?... nie pamiętała, a jednak sen szatańskiej biesiady, sen, w którym nieodstępny towarzysz kochanka kaleczył jej serce, mimowolnie majaczył jej przed myślą.

Wilczek niespodziance przypisał przestrach dziewczyny, przedstawił jej Juliusza jako blizkiego, jedynego przyjaciela, starał się wesołością rozpędzić pierwsze wrażenia. Gość ze swojej strony szczerze pomagał do wydobycia z kłopotu małej gospodyni; przyglądał się kwiatom, podziwiał ich krasę; niby dawny znajomy, wszczynał poufałe rozmowy.

Nastusia ochłonęła nieco z wzruszenia, ale do spokoju jej było daleko. Odpowiadała nieswoja, roztargniona, wzrok zalękniony rzucała do koła, przysuwała się nieznacznie ku Wilczkowi, jakby szukając u niego opieki.

Zalotna, z wielkiego miasta kobieta, byłaby pozazdrościła wieśniaczce wyrazu twarzy, wzroku, postawy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przedmioty Gospodarstwa Domowego *Jerozolimska 72* **MAGAZYN „METROPOL"** **Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo** *Jerozolimska 72* 1004—50-13

TOWARZYSTWO AKCYJNE

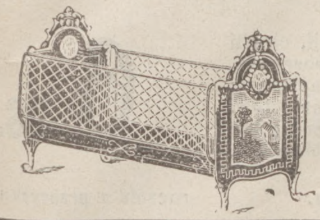
WŁ. GOSTYŃSKI I S-KA

FABRYKA WYROBÓW ŻELAZNYCH

WARSZAWA, Mokotowska Nr. 3.

Skład fabryczny: Wierzbowa 3.

Filje: w Łodzi: Piotrkowska 81 w Moskwie: Rożdiestwienska dom Tretjakowych.





POSIADA NA SKŁADZIE W WIELKIM WYBORZE:

MEBLE ŻELAZNE wszelkiego rodzaju: ogrodowe, domowe, szkolne, szpitalne i dla sal chirurgicznych; **Wózki i Welocypedy dziecinne;** Łóżka systemu angielskiego i wiedeńskiego. **Konstrukcye Żelazne:** mosty, wiązania dachowe, oranżerye i t. p., **okna drzwi, bramy, kraty, balkony,** schody wszelkich konstrukcyi, okiennice składane patentowane. **Wagony Pasażerskie i Towarowe** dla dróg żelaznych podjazdowych. **Kolejki wązkotorowe:** stałe i przenośne oraz wagonetki i taczki wszelkich typów; **Narzędzia kolejowe. Lewary. Ślusarstwo ozdobne i Stylowe:** okucia, świeczniki, latarnie, pomniki, żyrandole. **Wyroby blacharskie i kotlarskie:** wanny, piecyki, prysznice, lodownie pokojowe, kubły, klozety, rezerwoary. **Odlewy żelazne,** drzwiczki hermetyczne do pieców. Ruszty. **Prasy do kopjowania. URZĄDZENIA STAJEN I ŁAŹNI.**

CENNIKI NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE. 921—24—18

Gabinet-dentystyczny.

ze specyalną pracownią do wstawiania

ZĘBÓW SZTUCZNYCH

od 1 do 10 rub. za sztukę

818-52-48 przyjęcie od 9 do 6:

Chmielna N-r 16. m. 4.

Do nabycia w księgarniach podręcznik naukowy pedagoga **Reussnera**

„SAMOUCZEK"

Polsko - Francuski, najlepsza, najnowsza, najłatwiejsza metoda do bardzo prędkiego nauczenia się francuskiego języka **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i akcentowania, **I-szy kurs 13** zeszytów, **II-gi kurs 24** zeszyty. **Gramatyka Polsko-Francuska, 10** zeszytów, każdy po kop. 15 (pocztą kop. 18). Na zaliczkę pocztową wysyła się **tylko 20, 10,** lub przynajmniej **6 zeszytów.**

SAMOUCZEK Polsko-Rosyjski Kurs I-y w **14** zeszytach, **Kurs II-gi** wychodzi zeszytami po kop. 10 (pocztą kop 13). Na żądanie wysyła się **bezpłatnie** I-y zeszyt **„Samouczka" Francuskiego i Ruskiego.** Skład główny u autora **(Reussnera),** ul. **Złota № 6,** w Warszawie. 4

„LEOCADIE"

specyalna pracownia

Ubiorów Dziecinnych

w Warszawie, Trębacka 3.

981—12—12

Uprasza się o zwrócenie uwagi na niebywałej dobroci

CUKRY DESSEROWE.

NOWO-OTWORZONEJ FABRYKI CZEKOLADY.

i Cukrów Desserowych.

TEODORA KOZIŃSKIEGO

Marszałkowska 123. 951-25-14

Ceny nizkie.

Pierwszorzędne biuro **Antoniny Piaseckiej** poleca nauczycieli, nauczycielki, bony, sprowadza cudzoziemki. Krakowskie-Przedmieście Nr. 38 wprost Placu Saskiego. 904—25—17

SPECYALNY SKŁAD

Podszewek oraz wszelkich przyborów dla pp. Magazynierek 859—20—23

TOWARY NORYMBERSKIE

Antonina Plichta

Ś-to Krzyzka № 8.

CENY NAJNIŻSZE.

Na raty Duży Sklep Manufakturnych i Sukiennych towarów. Życzący na raty adres osobiście lub pocztą **Nalewki 36**

12 **Ch. Kantorowicz.**

Nagrodzony najwyższemi nagrodami na wszystkich wystawach

ZAKŁAD ORTOPEDYCZNY

MAURYCEGO ERLICH 892-24-20

ucznia **Mathieugo** w Paryżu, prostowanie wszelkich skrzywień kostnych stosownemi aparatami za wskazówką pp. lekarzy. Zakład egzystuje przeszło lat dwadzieścia i powoluje się na najpierwsze miejscowe powagi lekarskie. **Warecka 10.**

SZKOŁA KROJU i SZYCIA

MARYI MACIEJOWSKIEJ

System francuzki, nauka dokładna i sumienna. Na żądanie *Patenty cechowe.* Osoby przybyłe z prowincyi mogą znaleźć wygodne pomieszczenie.

NOWY-SWIAT 56, m. 5. 934 -12-10

Skład towarów Żelaznych **I. WEISSMANN**

i Naczyń kuchennych 988-25-13 Warszawa Graniczna 8.

Nowootworzony skład dywanów *ul. Erywańska 14.*

p. fir. **K. Kruszyński i L. Miciński**

poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t. p. — Ceny nizkie

Sprzedaż na raty. 1028-52-11

Przyjaciel Dzieci

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE

NAUCE i ROZRYWCE MŁODZIEŻY POŚWIĘCONE.

W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część illustracyjna bogata i bardzo starannie opracowana.

Premium bezpłatne książka.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. **1**, rocznie rs. **4.** Na prowincyi kwartalnie rs. **1** k. **25**, rocznie rs. **5.**

REDAKTOR i WYDAWCA

Jan Skiwski

Warszawa, Chmielna 26.

Na żądanie wysyłają się numera okazowe.

Dr. A. BUCKIEWICZ

Wilcza Nr. 28. 936—12—12

Choroby wewnętrzne (zwłaszcza „reumatyzmy" i „nerwowość") oraz skórne (np. wilki, liszaje, plamy skrofuły etc.) mające związek z chorobami wewnętrznemi, tudzież zapalenie skrofuliczne oczu, dzieci i dorastającej młodzieży własną metodą. Krom poniedziałków, codziennie od **11—1** i od **5—6.** Niedziele i święta do **10** rano. Ubogich bezpłatnie.

Wincenty Węgierski

Freta Nr. 13

Długoletni współpracownik firmy

854-26-23 **B. HERSE**

otworzył pracownię

Sukien i Okryć damskich

Kapelusze, suknie żałobne

oraz wszelkie przybory pogrzebowe poleca:

Kaucyonowane Przedsiębiorstwo Pogrzebowe

F. WODECKIEGO

ul. Marszałkowska 106

pomiędzy Chmielną a Widok.

Załatwia kompletne pogrzeby i przeniesienia zwłok szybko, akuratnie i tanio. 10.9.

Dla Pań malujących

Farby, Przybory Artystyczno Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład

T. CZARNOCKIEGO

101, Marszałkowska 101,

w WARSZAWIE. 812-50-43

Przygotowanie i sprzedaż dozwolona na ogólnych prawach handlu Warszawską Radą Lekarską za № 2022.

„DENTOL"

Proszek do zębów

wynalazku

W. Tomczyńskiego

Denthol nie ściera emalji, nadając biały kolor zębom, zapobiega próchnieniu, oraz dezynfekuje jamę ustną. 1036-12-9

Główny Skład

Warszawa, ulica Leszno Nr. 28.

Żądać w aptekach i w Składach aptecznych.

NOWY ZARZĄD

CZYTELNIA DLA KOBIET

Warecka 9.

Stale zaopatruje z nowości wszystkie działy. Bogaty dobór dzieł poważnych oraz klasycznych w 5 językach. Dla abonentek bez dopłaty 18 czasopism w 4 językach. Abonament miesięcznie **40** kop. 817—32—29 **Wysyłka na prowincyę.**

Władysław Popiel

Jubiler. Egzystuje od 1858 r.

Warszawa, Senatorska Nr. 6

Poleca wielki wybór biżuteryi gustownej po cenach przystępnych. 1016-26-5

PRACOWNIA SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH
Bronisławy Müller
(Bednarskiej)
przeniesiona została z ul. Aleksandrya
na Świętokrzyską N-r. 17
973—25—13

S. KRZEWSKI i K. PŁODOWSKI
dawniej
M. SZYMAŃSKI
Skład Towarów Żelaznych i Galanteryjnych
w Warszawie, Senatorska № 10
poleca: **Naczynia kuchenne i gospodarcze oraz wszelkie narzędzia.** 913-28-15

Okulary, Binokle i Lornetki od rs. 1. **Pasy brzuszne i Bandaże rupturowe** sprężynowe, gumowe, lekkie i nietamujące ruchów ciała od rs. 2. **Opaski hygieniczne** damskie ulepszone po kop. 40, 75 i rs. 1. Obstalunki listowne uskuteczniam bezzwłocznie. 868-40-25
Michał Pik, optyk mech. m. Warsz.
Warszawa, ulica Miodowa nr. 41

Znacznie powiększona

BIESIADA

LITERACKA ILLUSTROWANA.

DLA RODZIN POLSKICH.

Redaktor Władysław Maleszewski.

5 rs. rocznie w Warszawie.

Powieści, podróże, sztuki piękne, wiadomości z literatury, biografii, pedagogii, chwili bieżącej, polityki, z naszych miast, wsi, z zagranicy. Rebusy, szarady i t. p. rozrywki. Liczne illustracye wypadków w kraju i zagranicą. Kopie obrazów, rzeźb, krajobrazy, pomniki, portrety, zabytki przeszłości. Spółpracownictwo znanych literatów i artystów. **Premia bezpłatne do wyboru:** Książki, obrazy kolorowane, między niemi Ojcze nasz, Zdrowaś Marya, Wierzę w Boga, Rozkosze dziadunia, W polskim lesie. portrety Sobieskiego, Czarnieckiego, Jadwigi, X. Skargi, J. I. Kraszewskiego, Mickiewicza.

6 rs. rocznie z przesyłką

1 k. 50 — DODATEK DO BIESIADY — **2 rs.**

WYBÓR PODRÓŻY I POWIEŚCI Z RÓŻNYCH EPOK I KRAJÓW.

Czytelnik rozszerza lub odnawia swą wiedzę, przez przypomnienie faktów dziejowych.

Upraszamy dotychczasowych prenumeratorów Biesiady o wiadomość: od którego roku trwa ich prenumerata i o aforyzm własny. W „HERBARZU JUBILEUSZOWYM" pomieścimy aforyzmy najlepsze i nazwiska czytelników, którzy są sprzymierzeńcami i przyjaciołmi Biesiady.

Prenumeratę nadsyłać można rocznie, półrocznie, kwartalnie. ☞ Prospekt i numer okazowy wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Adres: Biesiada Literacka, Warszawa, Chmielna 26.

„CARMEN"

Nowa Pomadka VOGTA nadająca w Mgnieniu Oka nieporównany połysk wszelkim metalom, nadeszła do Składu **ADAMA KEMPIŃSKIEGO,** Ś-to Krzyska 39, róg Marszałkowskiej. Cena Kartonu zawierającego **36** pudełek 5-cio kop. **Rb. 1.26 k.** Dostać można wszędzie. 948-15-14

NOWOŚĆ!

FIGLE!

Zbiór dowcipnych zadań, łamigłówek i anegdot. **Książka dla zabawy i rozrywki towarzyskiej.** Do druku podał Samotnik z Podlasia. Cena kop. 25, pocztą kop. 30. Do nabycia w księgarni **Ch. I. Rosenweina Marszałkowska 114,** oraz we wszystkich księgarniach. (Pocztą nadsyłać można markami.) 9

Klemens Junusza

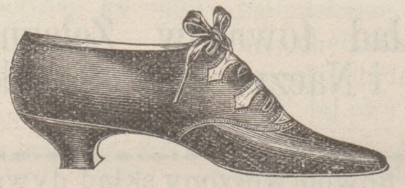
(K. Szaniawski)

Z pola i z bruku. . . . . kop 80
Wnuczek i inne nowelle i obrazki. . . . . . . „ 80
Ojciec Prokop, karta ze wspomnień . . . . . . „ 20

Do nabycia
we wszystkich księgarniach
oraz w Administracyi
„Tygodnika Mód i Powieści"

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
(CZYTELNIA)

w czterech językach, przy Księgarni i Składzie Nut **Alfreda Straucha i S-ki Niecała 8.** Poleca wielki wybór książek. Ostatnie nowości na składzie. Abonament 30 kop. miesięcznie. Zastaw za 3 książki 1 rubla. 974—12—13



MAGAZYN 910—25—19
Obuwia Damskiego i Dziecinnego
W. Bałutowskiej
ul. Niecała № 10, w Warszawie.

Przewodnik Illustrowany

po WARSZAWIE,

67 rycin, wielki plan Warszawy, plany teatrów, cyrku etc.



Cena egzemplarza w oprawie **15** kop.
z przesyłką pocztową rekomendowaną **35** kop.
Do nabycia we wszystkich księgarniach
→ ORAZ ←
w Administracyi „Tygodnika Mód i Powieści".

„SŁOWO"

DZIENNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY, LITERACKI, EKONOMICZNY I HANDLOWY

wychodzi codziennie prócz świąt w Warszawie

pod redakcyą

Mścisława Godlewskiego

przy udziale pierwszorzędnych pisarzy polskich

„SŁOWO" powiększyło swój format w r. b. o 1/3 dotychczasowej wielkości, bez zmiany warunków prenumeraty.

Oprócz zwykłych rubryk codziennych i artykułów wstępnych oraz korespondencyi z całego świata, **„SŁOWO"** zamieszcza codziennie **dwa feljetony:** naukowo literacki i powieściowy.

W 1899 r. w feljetonie powieściowym „SŁOWO" drukować będzie przedewszystkiem dokończenie wielkiej powieści jubileuszowej.

Henryka Sienkiewicza

p. t.

„KRZYŻACY."

(Nowoprzybywający od Nowego Roku prenumeratorowie „SŁOWA" mogą otrzymać początek **„Krzyżaków"** (sześć części) za dopłatą **1** rs.)

Następnie w tece feljetonowej „SŁOWA" znajdują się: ***Elizy Orzeszkowej*** nowela **„PORCELANKA,"** powieść ***Wincentego Kosiakiewicza*** p. t. **„HALLALI!",** powieść ***Artura Gruszeckiego*** p. t. **„NAWRÓCONY,"** powieść ***Maryana Gawalewicza*** **„KLIN"** i inne.

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: Rocznie rs. 9, półrocznie rs. 4 kop. 50, kwartalnie rs. 2 kop. 25, miesięcznie 75 kop. Za odnoszenie do domu dopłaca się 5 kop. na miesiąc.
z przesyłką pocztową: Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6. kwartalnie rs. 3.
Za granicą: Rocznie rs. 14 kop. 50—40 frank—19 guld.—32 marki.
Półrocznie 8 rs.—22 fran.—10 guld.—17 marek.
Kwartalnie 4 rs.—12 fr.—5 guld.—9 marek.
Miesięcznie 1 rs. 50 kop.—4 fr.—2 guld.=3 marki. 6

Adres Redakcyi i Administracyi „SŁOWA" Warecka 15 w Warszawie.